

1. MODERSKA IRENA, IRKA, RIKA, z domu Ositówna, córka Ernesta i Józefy z d. Kowzan.

2. Urodzona 4.10. 1921 r. w Rydze (Łotwa).

4. W Rydze ukończyłam polską szkołę podstawową i uczęszczałam do gimnazjum polskiego, w którym bardzo dbano o patriotyczne wychowanie. Duży nacisk kładziono na naukę języków – oprócz polskiego już w szkole podstawowej uczyliśmy się łotewskiego, niemieckiego, rosyjskiego i angielskiego.

Przed drugą wojną światową każdego roku latem przyjeżdżaliśmy do Polski, do rodzinnego majątku matki Gudele (ok. 30 km od Wilna, ok. 16 km od Oszmiany i ok. 3 km od stacji kolejowej Gudogaj. W Gudelach były trzy domy. Jeden z nich zajmował brat matki Michał Kowzan, drugi - siostra Stanisława Mikulska, na stałe mieszkająca na wsi. Trzeci, największy dom, w którym mieszkaliśmy, zbudowany na typowym planie dziewiętnastowiecznych dworów, przeznaczony był dla sióstr mieszkających na stałe w miastach, w tym dla mojej matki. Spędzaliśmy tam wakacje.

W dwudziestoleciu międzywojennym było tam gwaro i rojno. Choć nie było wielkiego bogactwa, dom był otwarty dla wszystkich. Z pobliskiego Wilna zjeżdżała młodzież studencka, a także wiele osób związanych z Uniwersytetem im. Stefana Batorego, m.in. pisarz Antoni Gołubiew, poeta Aleksander Rymkiewicz, historyk Stanisław Stomma, profesor Stanisław Swianiewicz (autor *W cieniu Katynia*) i wielu innych, głównie humaniści. Mąż siostry mojej matki Witold Nowodworski był profesorem na Uniwersytecie Wileńskim. Do Oszmiany zaś jeździło się tylko w odwiedziny do krewnych – Antoni Łokuciewski, dyrektor oszmiańskiego gimnazjum, ojciec pilota Dywizjonu 303 Witolda Łokuciewskiego, „Tolka”, był ciotecznym bratem mojej matki.

Wojna i okupacja zmieniły wszystko. Uniknęliśmy z matką pierwszych wywózek na Sybir, ponieważ zostałyśmy ostrzeżone i ukryłyśmy się.

5 i 6. We wrześniu 1939 roku wybuch wojny zastał nas w Gudelach. Mieszkałam tam przez całą okupację niemiecką i sowiecką, z krótkimi przerwami na

pobyty w Wilnie. Nasz majątek położony był za wzniesieniem, był więc niewidoczny od strony drogi Ostrowiec – Oszmiana. W pobliżu rozciągały się lasy, których część należała do Gudel, a najbliższa wioska oddalona była prawie o kilometr. Wszystko to sprawiało, że był to dobry punkt kontaktowy dla siatki konspiracyjnej Armii Krajowej, a także dla późniejszych oddziałów partyzanckich. Teren ten należał do Inspektoratu „F” III Zgrupowania Okręgu Wileńskiego AK Obwodu Oszmiana, którego komendantem był mjr „Jarema” – dr Czesław Dębicki. Dogodne warunki sprawiły, że Gudele zostały wybrane na siedzibę dowództwa placówki Polany, zamieszkał tu jej komendant ppor. Leonard Miastowski z żoną i jej bratem Henrykiem Łokuciewskim, pchor. „Czarny”.

Młodzież, zagrożona w miastach, przenosiła się na wieś, głównie do majątków i folwarków. Większość zgłaszała się do powstających oddziałów. Do Gudel przybyli z Wilna nasi najbliżsi krewni, m.in. kuzynka Marysia Borucka, która włączyła się w działalność konspiracyjną. W ramach szkoleń sanitariuszek przygotowywała grupę dziewcząt do egzaminu przeprowadzanego przez dr Dobrzyńską.

W Gudelach prowadzono szkolenia, magazynowano broń i lekarstwa, farbowano płótna na mundury. Odbywały się też zebrania konspiracyjne, pod pretekstem spotkań towarzyskich i zabaw. Uczestniczyli w nich m.in.: ks. Wacław Radziwon z pobliskiego kościoła, ppor. Henryk Lefik, komendant placówki Kamionka (9 Brygada), ppor. Stanisław Dawidowski, pseudonim „Nabój” (8 Brygada „Tura”), pchor. Henryk Łokuciewski, „Czarny” (9 Brygada „Małego”), Janusz Siedlecki, „Piątak” (8 Brygada „Tura”), Antoni Kowzan (8 Brygada „Tura”). Udając się piechotą do Wilna, korzystało się z Czarnej Traktu wiodącego przez Szumsk, gdzie dr Leonard Perepeczko udzielał pierwszej pomocy rannym Akowcom. W majątku Kozielłowszczyzna, którego właścicielem był nasz bliski krewny Michał Łokuciewski, mieścił się szpitalik AK.

Już w 1942 roku rozwijała się działalność siatki konspiracyjnej, do której zostałam stopniowo wciągnięta. Otrzymałam polecenie podjęcia pracy jako tłumaczka na stacji kolejowej Gudogaj, ze względu na dobrą znajomość niemieckiego i rosyjskiego. Moje zadanie polegało na przygotowywaniu tzw. „kolejówek” – informacji o ruchach pociągów przewożących wojska niemieckie i broń. Była to linia

kolejowa Wilno-Mołodeczno-Mińsk. Przekazywałam informacje Henrykowi Łokuciewskiemu, pchor. „Czarny”, który pracował w organizacji Todt. Dzięki temu mieliśmy wgląd w poczynania Niemców w stosunku do miejscowej ludności.

Przed akcją zbrojną (np. na Ostrowiec) konieczne było rozpoznanie terenu. Przy torach kolejowych między stacjami stała wartownia niemiecka. Trzeba było ustalić, kiedy i jak odbywa się zmiana strażników, jak są uzbrojeni itp. Spacerowaliśmy wtedy w pobliżu z „Tońkiem”, udając parę zakochanych.

W tym czasie zdobywanie broni było ważnym problemem dla formujących się oddziałów partyzanckich. Postanowiłam więc coś zdziałać w tym kierunku. Jako pracownicy kolei wolno mi było podczas jazdy pociągiem nosić opaskę *Deutsche Reichsbahn*. Dość często jeździłam wtedy do Wilna. Wsiadałam do wagonów, w których jechali Niemcy. Wybierałam pociągi wieczorne. Wagony nie były oświetlone. Niemcy zdejmowali pasy z bronią i wieszali je na wieszakach nad siedzeniami. Zasypiali i spali bardzo mocno, często głośno chrapiąc. Ja kładłam swoje rzeczy na górnej półce. Udając, że sięgam po nie, próbowałam dosięgnąć pasa z bronią. Najpierw tylko otwierałam kaburę i sprawdzałam, czy skrzypi (nowa skóra często charakterystycznie skrzypiała, wyjmowanie pistoletu było więc ryzykowne). Wyjmowałam broń, gdy pociąg zbliżał się do stacji Gudogaj, i szybko szłam do wyjścia. Wyskakiwałam ze swoją zdobyczą i starałam się powstrzymać od szybkiego biegu przez perony, żeby nie zwrócić na siebie uwagi.

Powtarzałam te jazdy wielokrotnie, czasem zabierałam nawet cały pas. Pewnego razu, wychodząc z przedziału z pistoletem pod kurtką, odwróciłam się i zobaczyłam, że niemiecki oficer podnosi ręce i sięga do półki. - Co robić, zaraz może być alarm. Dopadłam drzwi, szarpnęłam, pociąg akurat zwalniał, wyskoczyłam więc i tym razem pobiegłam. Otworzyło się okno wagonu, czekałam na krzyk, strzały, ale nic takiego nie nastąpiło. To oznaczało, że Niemiec po prostu przeciągał się po przebudzeniu.

Ale to nie był koniec emocji. Szybkim krokiem, prawie biegiem, zmierzałam do pobliskiej wsi Taboryszki, gdzie czasem nocowałam, żeby nie wędrować 3 km do domu. Było ciemno, minęłam stodołę stojącą dość daleko od domów. Nagle usłyszałam: „Stój, kto idzie?!” Myślałam gorączkowo, co robić, rzucić broń?

Przypomniałam sobie, że tej nocy szykowałam się jakaś akcja, ale kto mógł być tutaj? Zaprowadzono mnie do stodoły i powiedziano, że w zamknięciu będę siedzieć do świtu. Nie podobała im się moja opaska *Deutsche Reichsbahn*. Na szczęście przyszedł dowódca. Był to „Ojciec” (Henryk Iwaszkiewicz) z 3 Brygady „Szczerbca”. – „Przecież to Irka z Gudel. Wypuścić!” Z radości zostawiłam im broń. Ucieszyli się, bo akurat dwóch chłopców nie miało broni.

7. Dopiero w końcu czerwca 1944 roku dołączyłam do 10 Brygady „Gustawa”, która właśnie się formowała i szkoliła wielu młodych ludzi z siatki konspiracyjnej. Miejscem postoju był m.in. majątek Biena. Brygada nie brała udziału w bitwie z Niemcami, która rozpoczęła się 7 lipca (akcja „Ostra Brama”), gdyż przybywający nie byli wojskowo przeszkoleni i nie mieli broni.

Po walkach o Wilno - akcji „Ostra Brama” - wojskowe władze radzieckie pozorowały chęć współpracy z AK. Po podstępny aresztowaniu części dowództwa Armii Krajowej Okręgu Wileńskiego z gen. Wilkiem na czele NKWD przystąpiło do likwidacji organizacji AK. Brygady udające się w kierunku Puszczy Rudnickiej były otaczane przez żołnierzy Armii Czerwonej, rozbijane i pod eskortą odprowadzane do obozu utworzonego w ruinach zamku w Miednikach.

Taki los spotkał i naszą 10 Brygadę „Gustawa”. Udało mi się uciec, wykorzystując zamieszanie i strzały na początku kolumny. Uniknęłam więc wywiezienia do Kaługi. Nie mogłam wrócić do Gudel, bo Rosjanie pytali tam o mnie. Udałam się więc do Wilna, zamieszkałam u ciotki, przy ulicy Zakretowej.

Działalność konspiracyjna trwała jednak nadal. Części naszych żołnierzy udało się uciec i ukrywali się w różnych kryjówkach w mieście i w terenie. Punkty wyrobienia nowych dokumentów pracowały sprawnie. Moim zadaniem było dostarczanie ich we wskazane miejsca, również na terenie znanym mi z poprzednich wędrówek. Zdarzało się, że zatrzymywałam samochód wiozący rosyjskich oficerów i prosiłam o podwiezienie. Pomagała mi dobra znajomość rosyjskiego i dokumenty szybko docierały do czekających.

W tym czasie odbywały się masowe aresztowania, szczególnie Akowców. Wędrowali oni do więzienia, do łagrów, do kopalni (Workuty) na wiele lat. Po wielu ślad zaginął.

9. Zostałam aresztowana przez NKWD 18 grudnia 1944 roku w Wilnie. Znalazłam się w siedzibie NKWD przy ul. Ofiarnej, gdzie wcześniej urzędowało Gestapo. Nie mieliśmy ze sobą żadnych rzeczy, bo powiedziano nam, że zabierają nas na „prowierku dokumentów”, i miało to trwać krótko. Tymczasem czekały nas długie miesiące w więzieniu i długie lata w łagrach. Szłam przez niekończące się, ponure korytarze w piwnicach, mijając cele pełne więźniów. Wprowadzono mnie do bardzo dużej, słabo oświetlonej sali szczelnie wypełnionej ludźmi. Potwierdzały się pogłoski o masowych aresztowaniach. Zapełniano nie tylko więzienia, ale i koszary, piwnice i wszelkie dostępne gmachy.

Już po kilku dniach znaleźliśmy się w słynnym wileńskim więzieniu „Łukiszki”, pamiętającym jeszcze czasy carskie. Więzienia były tak przepelnione, że do dwuosobowej celi pakowano po 40 osób. Nawet leżąc bardzo ciasno na podłodze, wszyscy nie mogli się pomieścić. Kiedy jedni się kładli, reszta musiała siedzieć. Wzywano też na przesłuchania, przeważnie nocami, często były bardzo brutalne. Zarządzono kwarantannę, nie opuszczaliśmy więc celi. Warunki straszne: głód, zaburzenia żołądkowe, wycieńczenie i wszy.

Przez okno w celi, umieszczone bardzo wysoko, nocami było słychać ruch na podwórzu więziennym przed wielką bramą – szczekanie psów, głośnie komendy żołnierzy, repetowanie broni. Wyprowadzano więźniów. Dotarły do nas wiadomości o transportach wysyłanych w głąb Rosji. Były to duże transporty, niektóre liczyły nawet po dwa, trzy tysiące ludzi. Na ich miejsce przyprawiano do więzienia innych. Widać było, że władze więzienne nie wiedziały, kto w jakiej celi siedzi – bałagan straszny. W przechowalni paczek gnęły całe ich stosy, gdyż bardzo rzadko docierały do adresatów.

Wreszcie w marcu 1945 roku przyszła kolej na nas. Sprowadzono nas na parter i stłoczono w dużej sali, było nas około 300 kobiet.

10 marca 1945 roku, jeszcze przed świtem, zostaliśmy wyprowadzeni na podwórze więzienne. Otoczyli nas uzbrojeni konwojenci z psami, zapowiadając, że krok w lewo bądź w prawo będą uznawać za próbę ucieczki i zaczną strzelać. Wyprowadzono też mężczyzn i ustawiono nas wszystkich w długie kolumny.

Jakże inaczej wyobrażaliśmy sobie wyjście z więzienia przez bramę! Było mroźno i wiał zimny wiatr. Nasz pochód posuwał się wolno. Ludzie byli osłabieni, wycieńczeni po trzech, czterech miesiącach więzienia w strasznych warunkach. Byli też chorzy. Okazało się, że ja również ledwo mogłam iść. Miałam silną gorączkę. Idący obok pomagali mi posuwać się naprzód. Kto upadł, był zmuszany do wstania. Rozlegały się strzały. Prowadzono nas w kierunku stacji kolejowej.

Pomimo wczesnej godziny przybiegło wielu ludzi, usiłowali wypatrzeć swoich. Więźniowie wykrzykiwali nazwiska i adresy, prosząc o powiadomienie rodzin. Psy szczekały, konwojenci strzelali na postrach i odpędzali każdego, kto podszedł za blisko. Na dworcu kolejowym czekały na nas tzw. bydłce wagony, bez żadnych ław czy pryczy. Przeprowadzono rewizję u mężczyzn, odrywano nawet podeszwy.

Nasz transport liczył ok. 1800 osób, w tym 300 kobiet. Siadaliśmy lub kładliśmy się bezpośrednio na podłodze. Było bardzo ciasno i zimno. Układałyśmy się jedna przy drugiej, żeby się jakoś pomieścić, a także mniej marznąć. Drzwi zaryglowano. Okna były zabite deskami. Malutka szpara między deskami w ścianie była naszym jedynym kontaktem ze światem, nie licząc kanału ustępowego zbitego z czterech desek wstawionych ukośnie do otworu w podłodze.

Jazda trwała trzy tygodnie. Wybuchła epidemia tyfusu. Moja choroba też okazała się tyfusem, często byłam nieprzytomna, nieraz włosy przymarzały mi do ściany, bo mróz był silny. Męczył głód, brak wody. Czasami wrzucano śnieg, dawano wędzoną rybę. Coraz więcej ludzi chorowało, a ciała zmarłych wyrzucano na postojach. W drodze zmarło ponad 50 osób. Konwojenci często znęcali się nad więźniami, zwłaszcza nad mężczyznami.

30 marca przyjechaliśmy do Saratowa. Był wieczór, padał mokry śnieg. Ciężko chorych ładowano już na ostatnią ciężarówkę. Rzucono mnie z rozmachem na górę leżących bezwładnych ciał, wielu umierało. Umieszczono nas (kilkaset osób) w szpitalu. Tyfus miał bardzo ciężki przebieg i w szpitalu zmarło jeszcze 257 osób.

Skończyła się wojna. Myśleliśmy o powrocie do domu, ale to był dopiero początek naszej tułaczki. Po przeszło dwóch miesiącach pobytu w szpitalu dołączyliśmy do naszego łagru w Jelszance. Nosił on nazwę Łagier NKWD PFL 0321. Otaczały go dwa rzędy drutów kolczastych, pomiędzy którymi znajdował się pas zagrabionej ziemi kilkumetrowej szerokości. W rogach stały budki strażnicze, tzw. „bocianki” lub „wyżki”, na nich żołnierze z bronią maszynową. Nocą reflektory omiatały cały teren. Więźniowie grzęźli w gliniastym błocie po kostki (wiosną), z trudem wyciągając nogi. Była tam typowa architektura gułagu – ziemianki, a także baraki i kilka namiotów. Dookoła obozu rozciągał się step. Praca polegała głównie na kopaniu rowów, tzw. transzei, do gazociągu Saratów-Moskwa. Ciężka praca trwała od 8. do 19.30, grunt był twardy jak skała. Rąbało się kilofem 2,5 metra w głąb.

Kobiety ulokowano w barakach z piętrowymi pryczami. Spało się na gołych, nieheblowanych deskach. O żadnych kocach nie było mowy. Głodowe porcje stale zwiększały osłabienie. Brak wody, którą przywożono w beczkach, i mydła uniemożliwiał dbanie o czystość. Czasem przydzielano pół kubka wody na osobę. Ludzi atakował świerzb, pluskwy i wszy. Ubrania stopniowo zamieniały się w łachmany. Wielu chorowało – męczyła głównie biegunka, czyli „panos”, wrzody, kurza ślepotą. Zdarzały się wypadki duru brzuszego, a także gruźlicy i zapalenia płuc. Doskwierał głód.

Mimo to na apelach śpiewaliśmy naszą akowską pieśń. Początkowo nieliczni i nieśmiało, stopniowo przyłączało się coraz więcej głosów, aż melodia rozbrzmiała mocno. Ogarnęło nas wzruszenie - jesteśmy wśród swoich – większość to Akowcy.

*O Panie, któryś jest na niebie, wyciągnij sprawiedliwą dłoń,
Wołamy z wszystkich stron do Ciebie
O polski dach, o polską broń...*

Śpiewaliśmy także *Kiedy ranne wstają zorze.*

Kiedy poczułam się trochę silniejsza, mogłam pomagać w szpitalu obozowym. Lekarstw właściwie nie było. Na moich rękach (dosłownie) zmarło wielu ludzi w tym i następnym łagrze. Trupy wywożono ciężarówkami, chowano w pobliżu obozu.

Gdy skończyła się wojna, zwróciliśmy się do komendanta łagru z pytaniem, kiedy wrócimy do domów. Był zdumiony i powiedział: „Wojna to wojna, a łagry to łagry”.

Niedługo trwała niepewność, co z nami będzie dalej. W październiku załadowano nas ponownie do wagonów, zaryglowano i znowu w drogę, w nieznane. Powiedziano nam, że jedziemy do domu, a jechaliśmy na wschód. Przejechaliśmy Wołgę, Astrachań, potem przez zachodni Kazachstan, Republikę Kałmucką, przez Czeczenię – koło Groznego, dalej Dagestan, następnie wzdłuż Morza Kaspijskiego – wtedy było już widać ośnieżone szczyty Kaukazu. Przejechaliśmy przez Azerbejdżan i Gruzję. Jazda przez góry. W wagonach, w których jechaliśmy, były prycze, a okienka u góry nie były zabite deskami. Oglądaliśmy więc niezwykle widoki. Kiedy byliśmy już wysoko, otworzono drzwi, przez które oglądaliśmy piękną przyrodę – niebotyczne góry, malownicze zakręty, tunele, przełęcze, a w dole rzeki. Minęliśmy Tbilisi.

20 października dojechaliśmy do Kutaisi (dawnej stolicy Gruzji) – miejsca naszego nowego łagru, 80 km od granicy tureckiej. Był to duży obóz wielonarodowościowy, skupiał ponad 7 tysięcy więźniów.

Kobiety umieszczono w okrągłych „fińskich” domkach. Na środku był mały żelazny piecyk, który prawie nie dawał ciepła. Spało się na gołych deskach, po kilka osób przytulonych do siebie. U mężczyzn nie było nawet podłogi. Jedzenie było jeszcze bardziej podłe niż w Jelszance. Kapusta, śledzie, np. zupa jabłkowa na śledziach lub jakaś nieokreślona z odrobiną kaszy. Bardzo mało chleba.

Po kwarantannie pracowaliśmy głównie w zakładach samochodowych, ale także w kołchozach. Klimat był bardzo przykry, bardzo dużo opadów, w zimie deszcz ze śniegiem. Miejscowość tę wykorzystywano na zsyłki już za czasów carskich. Do poprzednich chorób dołączyła malaria i ogólne wyniszczenie – dystrofia. Większość więźniów wyglądała okropnie – skóra i kości. W obozowym szpitalu układaliśmy chorych, często w przegniłych ubraniach, na gołych deskach prycz. Lekarstw nie było. Zmarłych chowano za drutami. Powstał cmentarz, a nasz obóz nazywano „łagrem śmierci”. Nocami słyszeliśmy wycie szakali, które podchodziły do naszego cmentarza.

W 1947 roku udało się nam uciec z obozu (3 kobiety i 5 mężczyzn). Przez kilka dni cieszyliśmy się wolnością, wędrowaliśmy przez piękny kraj, nocując na

commentarzach. Niestety, silny atak malarii jednej z dziewcząt zmusił nas do dłuższego postoj. Zostałyśmy złapane w Soczi i odwiezione z powrotem do obozu. Skończyło się pobytem w karczerze i karną brygadą. Nasza ucieczka jest zarejestrowana w aktach archiwum wojskowego i Instytutu Historii w Moskwie.

W marcu 1947 roku Polacy ogłosili strajk. W łagrach był to zupełnie nieznan precedens. Postanowiono Polaków rozdzielić. I znowu obiecano nam, że jedziemy do domów. Dostaliśmy po raz pierwszy jakieś brezentowe buty, coś w rodzaju zapinanych fartuchów i męską bieliznę. Byliśmy „wystrojeni”, może więc naprawdę jedziemy do domu?

Wyjechaliśmy z Kutaisi 12 maja 1947 roku. Rozdzielono nas na trzy grupy: część mężczyzn powieźli do Astrachania, część do Stalingradu, a resztę, w tym kobiety, na północ. Początkowo jechaliśmy na wschód. Może do domu?

Jechaliśmy na północ trzy tygodnie. 1 czerwca przybyliśmy do nowego łagru pod Borowiczami-Szybotowo, był to łagier jeńców wojennych nr 270. Choć warunki były tu trochę lepsze (dla chorych dostaliśmy sienniki i koce), panowała ogólna depresja, poczucie beznadziei. Często musieliśmy wiązać mężczyzn, którzy dostawali ataków szału.

Zimą były wielkie mrozy. Sąsiadowaliśmy, o ironio, z obozem jeńców niemieckich. Na północy spędziliśmy jeszcze ponad dwa lata. Dołączono do nas dużą grupę Akowców ze Lwowa, przetrzymywanych do tej pory w Riazaniu.

Kiedy w 1949 roku oznajmiono nam, że jedziemy do Polski, nikt już nie uwierzył – tyle razy byliśmy oszukiwani. Jeszcze były przesłuchania, propozycje przyjęcia obywatelstwa radzieckiego, ale my chcieliśmy tylko do Polski!

Powrót odbywał się w trzech transportach. Ja odjechałam ostatnim. 27 lutego przywieziono nas do Białej Podlaskiej (jeszcze zamknięte wagony), po 10-dniowym postoj w Brześciu (obóz przejściowy).

Byliśmy wolni, ale radość mieszała się z przygnębieniem, że wróciliśmy do Polski, w której wisiały portrety Stalina, czerwone flagi, a młodzież śpiewała radzieckie pieśni żołnierskie.

Wyglądaliśmy okropnie. W łachmanach, pokryci wrzodami, wycieńczeni. Miałam poważne kłopoty z oczami, zaburzenia akomodacji, nie mogłam czytać. Szukaliśmy swoich rodzin, pojechałam do matki, do Tucholi.

10. Skutkiem ciężkich przejść w łagrach i więzieniach była choroba nerek (gruźlica), która skończyła się usunięciem jednej nerki. Mam poważne kłopoty z sercem (zawał, dusznica bolesna), cukrzycę. Chorowałam na nowotwór, przeszłam naświetlania. Licznym operacjom często towarzyszyły ropne zapalenia. Cierpię na reumatyzm i dyskopatię kręgosłupa.

Mam I grupę inwalidzką oraz inwalidztwo wojenne.

11. Intensywne leczenie przyczyniło się do pewnej poprawy zdrowia. W 1951 roku przeniosłam się do Poznania, gdzie otrzymałam posadę sekretarki w Akademii Medycznej (Zakład Roślin Leczniczych). Rozpoczęłam studia na wydziale historii sztuki UAM, jednocześnie pracowałam. Ukończyłam studia w 1955 roku. W tym samym roku otrzymałam pracę w poznańskim Muzeum Narodowym. Przez wiele lat byłam kustoszem Działu Sztuki Współczesnej. Znajomość języków obcych ułatwiała mi kontakty z przyjeżdżającymi do Polski zagranicznymi gośćmi i przydawała się podczas pobytów zagranicą. Wyjazdy umożliwiały mi stypendia m.in. kilkakrotnie do Wielkiej Brytanii (British Council), Francji i Szwecji i innych krajów.

Organizowałam wiele wystaw w kraju i zagranicą, opracowywałam katalogi. W Anglii prowadziłam badania nad twórczością Piotra Potworowskiego (pełna inwentaryzacja dzieł, opracowanie katalogu wystawy monograficznej). Ponadto organizowałam wystawy obrazów tego malarza w Londynie, Bristolu i w Paryżu.

Byłam też tłumaczem przy jury konkursów skrzypcowych im. Henryka Wieniawskiego. Na emeryturę przeszłam w 1982 roku. Będąc na emeryturze, współpracowałam przy organizacji retrospektywnej wystawy dzieł Piotra Potworowskiego w warszawskiej Zachęcie, jestem współautorem wydanej przy tej okazji książki.

12. Jestem członkiem Związku Sybiraków, Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej oraz Towarzystwa Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej. W ŚZŻAK, w środowisku „Ostra Brama” skupiającym byłych żołnierzy AK z Wilna i Kresów północno-wschodnich, prowadziłam sekcję socjalną, a od kilku lat zajmuję się kroniką środowiska zawierającą też zdjęcia i teksty wspomnień z lat wojennych.

Otrzymałam odznaczenia:

Krzyż Armii Krajowej (07.04.1995);

Krzyż Partyzancki (10.09.1986);

Odznaka Honorowa Sybiraka (17.09.1994);

Odznaka Weterana Walk o Niepodległość;

Odznaka Stowarzyszenia „Łagierników” Żołnierzy AK.

